

GDY BYŁEM W REICHENAU

Do komanda Reichenau, prawdopodobnie w pierwszych dniach lutego 1945 roku, przybył pieszo około 100-osobowy transport z odległego o kilka kilometrów komanda Gablonz. W tym transporcie znalazłem się i ja. Rosjanie, Francuzi, Polacy, wśród których sporą grupę stanowili warszawiacy przywiezieni do Gross-Rosen wrześnieowym transportem powstańczym z obozu przejściowego w Pruszkowie. Maszerowaliśmy w mroźny słoneczny dzień bocznymi drogami polnymi do nowego miejsca przeznaczenia. Na polach zalegał śnieg, iskrzący się w słoneczku i skrzypiący pod drewniakami maszerującej kolumny więźniów.

Przypomina mi się coś związanego z tą drogą. Przechodziliśmy obok zagajnika, spojrzałem w głąb młodego lasu i zobaczyłem coś białego, ale nie podobnego do śniegu. Sąsiad mój powiedział, że są to skorupki od jaj. Zupełnie zapomniałem o istnieniu kurzych jaj i zacząłem sobie wyobrażać, jak ktoś szczęśliwy może jeść ugotowane na twardo jaja okraszone solą. Jaki to musi być wyborny smak! Czy ja jeszcze kiedy będę je jadł? ... I jeszcze nasuwa mi się inne pytanie: dlaczego oni wysłali nas z Gablonz? Prawdopodobnie, żeby zrobić miejsce dla prominentów przybyłych do obozu przed kilku dniami z ewakuowanego Oświęcimia. W Gablonz brak było miejsca, a oni przybyli w nowych czystych pasiakach, z bagażem osobistym, mieli nowe, ciepłe, wełniane koce, własne mydło, szczoteczki do zębów. W porównaniu z nami byli magnatami. I nie tylko unikali z nami rozmowy, ale zabraniali nam się zbliżyć prawdopodobnie w obawie przed zawszieniem i zarażeniem. Więc może dlatego my odchodzimy do innego komanda, żeby dla tych ważnych zrobić wygodniejsze miejsce ... Prominent w gwarze obozowej to więzień ustosunkowany, czy to przez protekcję czy przez okup z otrzymywanych paczek czy z powodu funkcji obozowej miał wygodniejsze warunki pracy i większą szansę przetrwania.

Na takich rozmyślaniach upłynęła mi pozostała część marszu. Ze wzniesień widać już było panoramę okolicy, zabudowania willowe i wreszcie zostaliśmy wprowadzeni do nowego obozu.

Reichenau - to nazwa niemiecka - obecnie miasteczko Rychnov w Sudetach na terenie Czechosłowacji, usytuowane w kotlinie, otoczone malowniczymi wzniesieniami Podgórze Karkonoszy. Tutaj Niemcy zlokalizowali jeszcze jedną filię obozu Gross-Rosen, aby wykorzystać niewolniczą siłę roboczą dla przemysłu zbrojeniowego. Sam obóz położony na krańcach miasteczka, ale stosunkowo blisko, bo około 500 metrów od dworca kolejowego, był ogrodzony podwójnym płotem z drutami kolczastymi pod napięciem, a nad ogrodzeniem górowały wieżyczki wartownicze. Przy bramie wejściowej stała wartownia. Wewnątrz obozu kilka baraków drewnianych na pomieszczenia dla więźniów, magazyn, rewir - szpital obozowy, osobny barak na umywalnię połączoną z ubikacją. W środku, między blokami, był plac apelowy, a dalej na wyższym poziomie, znowu plac i drewniane zabudowania fabryki obozowej.

Przydzieleni zostaliśmy na blok Nr 2. Od tej pory zostaliśmy komandem roboczym "baukolonne" do budowy linii kolejowej. Przyjęto nas bez specjalnych szykan. W bloku tym mieszkali również więźniowie pracujący w fabryce. W odróżnieniu od obozu w Gablonz, gdzie

w jednym budynku murowanym mieściły się wszystkie urządzenia obozowe i pomieszczenie dla całego stanu osobowego, tutaj - podobnie jak w Gross-Rosen - obóz stanowiły baraki drewniane. Nie były one jak w Gross-Rosen skanalizowane i w nocy potrzeby swoje więźniowie załatwiali do blaszanych kadzi, które rano były przez dyżurnych opróżniane. Ogólna latryna przy umywalni była udostępniona dla nas tylko w dzień, gdyż nocą cały teren był oświetlony i chodzenie po obozie groziło zastrzeleniem.

W poprzednich okresach więźniowie "baukolonny" byli wykorzystywani przy zakładaniu obozu: budowali baraki obozowe, fabryczne pomieszczenia, pracowali przy drążeniu tunelu do obozu z fabryki głównej leżącej poza obozem i przy budowie willi dla lagerführera. My przeznaczeni byliśmy do pracy przy wykopie wąwozu dla przeprowadzenia toru kolejowego w górach.

Przez cały tydzień życie więźniów komanda Baukolonne na bloku ograniczało się tylko do przespania w nocy. Zaraz po śniadaniu apel, później do pracy. Wracaliśmy wieczorem bardzo zmęczeni i prawie w nocy po zjedzeniu zimnej zupy obiadowej kładliśmy się spać.

W baraku bloku drugiego wydzielona była część sypialna z pryzkami trzypiętrowymi i część jadalna, w której stały stoły i ławy. Drewniane prycze stały rzędami blisko siebie, sienniki papierowe wypełnione były słomą ze starości startą niemal na proszek. To samo dotyczyło podgłówek. Nakrywaliśmy się szmatami, które kiedyś nazywały się kocem.

W sypialni było tak ciasno, że nie odczuwało się za bardzo zimna. Wolno było do niej wejść tylko w bieliźnie, gdyż ubranie, ułożone w kostkę, pozostawialiśmy na ławach w jadalni. Ubrań w nocy pilnowali tzw. dyżurni. Oczywiście byli to więźniowie ustosunkowani, dobrze widziani przez władzę blokową, a ich częstym zajęciem było plądrowanie naszych ubrań i ograbianie z wszelkiego dobra, jak pozostawiony kawałek chleba czy szczypta tytoniu. Nawet nie mogliśmy ustalić, kto był sprawcą kradzieży, gdyż dyżurujący zmieniali się co kilka godzin według im tylko wiadomego grafiku. Właśnie dyżurni dokładnie nas rewidowali, abyśmy nic nie mieli przy sobie wchodząc do sypialni.

Prawdopodobnie w kwietniu zaczęliśmy dostawać trochę tytoniu. Ci co nie palili, odstępowali swój tytoń za kawałek chleba według ustalonej taryfy, zwyczajowo "na oko". Ja paliłem /przeważnie liście z drzew/, więc zacząłem tytoń kupować. Ponieważ zapasu pozostawionego w ubraniu na noc rano już nie znajdowałem, postanowiłem przemyścić tytoń do sypialni. Udało się mi przenieść go pod pachę. Schowałem dyskretnie pod podgłówek, gdy nikt nie widział, lecz tak mi się tylko zdawało, bo rano już tytoniu nie znalazłem. Byliśmy spracowani, więc sen mieliśmy twardy, a złodziejskie oko było czujniejsze od mojej przezorności. Gdy powtórzyło się to kilkakrotnie, zwierzyłem się przyjaciom. Wspólna akcja śledztwa wykazała, że kradł mi tytoń ten, od którego stale go kupowałem. Gdy w "wäschraume" udowodniono mu kradzież, koledzy chcieli zrobić samosąd, lecz na to się nie zgodziłem. Skradziony ostatniej nocy tytoń został mi zwrócony i odtąd już mi nie ginął w sypialni. Zawsze się znajdują tacy, co chcą żyć kosztem innych, ale były to bolesne wyjątki, bo przyznać muszę, że ogół więźniów stanowił grupę solidarnie dzielącą swój okrutny los.

Według relacji więźniów, w poprzednich okresach blokowy, którym był Niemiec Paul Beck, bardzo srogo traktował więźniów. Funkcję blokowego pełnił również Polak Kępa. Nie wykazywali oni wyrozumiałości w stosunku do więźniów.

W porównaniu z niedzielami w Gablonz mieliśmy tutaj więcej

spokoju. Wprawdzie niedziela dla nas zaczynała się dopiero po południu, gdyż rano również wyjeżdżaliśmy do pracy, ale wracaliśmy na obiad, po którym zaczynał się odpoczynek. Mniej też zarządzano zbytecznych apeli, nie było śpiewu w mokrych ubraniach, jak w Gablonz. Odwyszawianie odbywało się raczej z potrzeby, bez zbytecznych udręczeń i szykan stosowanych w poprzednim obozie. Tylko w niedzielę można było znaleźć czas na spacer i pogawędkę koleżeńską po placu obozowym. Niemniej i tutaj obowiązywały żelazne rygory obozu koncentracyjnego. Władza spoczywała w ręku esesmanów i niemieckich przestępców kryminalnych, podobnie jak w Gross-Rosen i Gablonz. Była też jak w Gross-Rosen karna kompania. Zdarzało się bicie i maltretowanie więźniów za najdrobniejsze przewinienia. Należało być bardzo czujnym.

W Reichenau spotkałem paru znajomych, m. in. Edwarda Sobczaka z Włoch, który nieraz dzielił się ze mną dymkiem z papierosa. Zawsze miał przygotowane w pudełeczku skręty. Ucieszyłem się też ze spotkania Bronisława Stachurskiego, długoletniego pracownika Urzędu Pocztowego w Warszawie na Placu Napoleona, przyjaciela mego ojca, z którym wspólnie długie lata pracowali. Tutaj był konserwatorem linii elektrycznych, więc miał zawsze dużo wiadomości o tym, co działo się w obozie. Pozyskałem również nowych przyjaciół, których nazwiska ustaliłem dopiero po wyzwoleniu, a między innymi dwóch inżynierów elektr. Michała Borkowskiego, który zawsze służył dobrą poradą i Stefana Stańskiego umiającego rozweselić kolegów i rozproszyć ich przygnębienie. Obaj pracowali w fabryce. Obóz w Reichenau, przy stanie 500 więźniów, stanowił zespół międzynarodowy. Najwięcej było Polaków, ale sporą grupę stanowili Francuzi, Belgowie, Rosjanie, Czesi, Jugosłowianie i Niemcy. Na szczęście mało było Niemców z zielonymi winklami i od takich stroniliśmy. Gdy przybyliśmy do obozu, był już przy bloku 3 rewir, w którym na szczęście nigdy nie byłem, gdyż brakło tam zarówno lekarzy, jak i lekarstw. Jedynym uchodzącym za lekarza na rewirze był więzień Ukrainiec Fedorczyk. Zmarłych już nie odwożono do krematorium, lecz grzebano za obozem w ziemi.

Fabryka stanowiła główny akcent architektoniczny w obozie, gdyż zlokalizowana została na wyższym poziomie terenu w stosunku do obozu wraz z przyległymi zabudowaniami. Fabryka potrzebowała wykwalifikowanych sił roboczych, wyszukiwano więc w Dachau, Auschwitz, Mathausen specjalistów różnych narodowości i kierowano ich do Gross-Rosen, a stamtąd do Reichenau.

Przez kontakty z kolegami zatrudnionymi w fabryce wiedzieliśmy, że produkują dla wojska aparaty radiowe, krótkofalowe, sprzęt radiolokacyjny, anteny radarowe i części do łodzi podwodnych.

Mimo, że warunki pracy w fabryce były dużo lepsze od pracy w Baukolonne, to niedożywienie i wycieńczenie spowodowane głodem, złym traktowaniem, niewyspaniem, biciem a także dodatkowe szykany po pracy i brak opieki lekarskiej wszystko to powodowało dużą śmiertelność.

Przyczyniło się też do tego w niemałym stopniu - o czym już mówiłem wykorzystanie przez SS niemieckich więźniów kryminalnych, którym powierzono różne funkcje obozowe, a którzy odznaczeni się sadyzmem.

Budujemy drugi tor

Więźniowie zatrudnieni w "baukolonne" to w większości nasza 100 osobowa grupa z Gablonz. Już się trochę znaliśmy i stanowiliśmy w

obozie odrębne środowisko. Mieliśmy najcięższą sytuację, gdyż cały dzień przebywaliśmy w terenie na otwartej przestrzeni w mróz, śnieg, deszcz i wiatr, a więc przez luty, marzec i część kwietnia. Należałem do nich. Jedynym naszym ubraniem były pasiak i "mantel" - płaszcz obozowy, zabrane z Gablonz. Chcąc się zabezpieczyć przed zimnem i mrozem więźniowie okrywali ciało workami po cemente, za co nie jeden raz byli bici przy apelu, którym rozpoczynał się dzień pracy. W "wäscheraumie" - bo tak potocznie nazywaliśmy umywalnię - czekaliśmy na eskortę "postów" - wartowników, którzy pod dowództwem podoficera SS konwojowali nas na dworzec kolejowy. Tam na osobnym torze podstawiany był pociąg specjalny, który wiozł nas kilkanaście kilometrów na miejsce pracy.

Czekając na pociąg trzęśliśmy się z zimna. A na przeciwko nas przed budynkiem stacyjnym, na peronach, kobiety i mężczyźni w futrach lub paltach z kołnierzami i w ciepłych czapkach, syci i czyści, oczekiwali na swoją docelową podróż, jakże odmienną od naszej. Patrzyli z nudów na nas, bandytów w pasiakach, pilnowanych przez wojsko z karabinami gotowymi do strzału. Co oni teraz myślą? Czy znają o nas prawdę? Wreszcie jest nasz pociąg, wsiadamy do wagonów, krzyki i popędzanie, normalnie, jak w zwyczaju Niemców. Już się przyzwyczailiśmy. Za jakąś stacją pociąg się zatrzymał. Pobieraliśmy przygotowane łopaty, szufle, kilofy i maszerowaliśmy na plac robót. W głębokim wąwozie biegł pojedynczy tor kolejowy. Po obu stronach unosiła się wysoka skała porośnięta lasem. Mieliśmy z jednej strony karczować las, kopać ziemię, a później kuć skałę. Urobek należało ładować na wagony-platformy podstawionego pociągu towarowego. Miał tutaj być ułożony drugi tor. Podzieleni na grupy robocze, mieliśmy zapowiedziane, że pociąg odjedzie dopiero po załadunku urobkiem.

I ta zasada była zawsze przestrzegana. Do jednego wagonu przydzielono 8 do 10 więźniów, czyli pociąg towarowy składał się z około 10 wagonów. Jedni kilofami kuli skałę, drudzy łopatami kopali, a jeszcze inni szuflami zrzucali urobek z kilkunastometrowej wysokości, aby przygotować załadunek do wagonu. Że przy tej pracy byliśmy ostro pędzeni nie trzeba chyba dodawać.

W południe nie otrzymywaliśmy obiadu, tylko kolację obozową, przy czym tzw. kawa była dowożona w termosach.

Pod wieczór schodziliśmy do wąwozu, zaczynało się ładowanie wagonów. Gdy esesmani sprawdzili, że wszystkie wagony są dodatkowo wypełnione, pociąg ruszał prawdopodobnie w kierunku Libenau /jeśli dokładnie pamiętam/. Tam znowu zrzucaliśmy na jedną stronę urobek skalny do zrobienia nasypu. Tę czynność wykonywaliśmy już po ciemku. Czasami była to godzina 21.00 lub 22.00, nieraz nasza katorżnicza praca kończyła się po północy. Dopiero wtedy wracaliśmy do obozu, by zjeść zimną zupę, pozostawioną z obiadu. Ubranie, przeważnie mokre, składaliśmy w kostkę aby rano ciągle mokre znów włożyć, wypić polewkę, stanąć do apelu, a później czekać na konwój. I tymi czynnościami odmierzaliśmy swój czas od niedzieli do niedzieli, gdyż w niedzielę pracowaliśmy, jak już wspomniałem, tylko pół dnia.

Wszystko to przerastało nasze siły, było nie do wytrzymania przy tym rodzaju odżywiania i przy braku wypoczynku, nic więc dziwnego, że słabliśmy, kilof stawał się coraz cięższy, praca się przedłużała do coraz późniejszych godzin, co i esesmanom nie odpowiadało. Nie pomagało już ani bicie ani esesmańskie wrzaski. Ludzie padali.

Prawdopodobnie dowódca załogi esesmanów, który nas konwojował,

nawiązał kontakt z władzami kolejowymi i wyjednał dla "baukolonny" "frisztiki". Było to coś niezwykłego. Duża kromka chleba, a na niej plastry marynowanego mięsa. W warunkach obozowych było to coś wspaniałego i niespotykanego. Nie chwaliliśmy się tym nawet w obozie. Niestety i "frisztiki" nie wiele już mogły pomóc. Pracowaliśmy więc, ale nawet esesmani widzieli, że jesteśmy wykończeni. Zima już się skończyła, zbliżała się wiosna. W górach jeszcze kapryśna, ale słońce coraz bardziej osuszało nasze paszaki. Prawdopodobnie i Niemcom robiło się coraz goręcej na frontach, a tor był zapewne pilnie potrzebny dla celów wojskowych.

Do pomocy przybyli więc mężczyźni różnej narodowości z okolicznych obozów pracy. Ubrani byli w cywilne ubrania, ale na marynarkach mieli numery. Wagony szybciej były teraz ładowane, ale rozładunek ciążył dalej na nas.

Władze stosowały wszelkie środki ostrożności, abyśmy nie mieli kontaktu z cywilami. Przede wszystkim wyznaczyli osobny teren dla nas, osobny dla nich. Teren styku obu odcinków pracy był pilnowany przez esesmanów. Więźniowie obozów pracy byli ostrzeżeni, że za rozmowę z nami zostaną wysłani do obozu koncentracyjnego, my natomiast, że grozi nam zastrzelenie. Mimo tych zakazów udawało się czasami pracującym na styku obu grup jakoś porozumieć, choć byli przeważnie innej narodowości. Przerzucali oni też czasami na naszą stronę kawałek chleba, choć pewno sami mieli go mało. Niewielu z nas skorzystało z takiej okazji, bo nie zdarzały się one często. Nieraz starałem się pracować w pobliżu styku naszych frontów, robót, ale nic mi się nie nadarzyło.

Jak dalece praca w "baukolonne" była wyniszczająca, podam jako przykład więźnia Rosjanina, który w Gablonz miał najłżejszą pracę, bo sprawdzał w fabryce marki kontrolne, jakie otrzymywaliśmy od majstrów przy wejściu do ubikacji. Był zdrowy, dobrej budowy, nic więc dziwnego, że nieraz zazdrościłem mu lekkiej pracy. Ale tutaj nikł w oczach. Słabnącemu pomagaliśmy wracać, wyręczaliśmy go, jak się dało, nadaremnie. Doszło do tego, że już nie było mowy o pracy, nawet chodzić nie mógł. Poszedł na tzw. rewir, gdzie długo walczył o życie. Zmarł 8 maja, w dniu odzyskania wolności. My też muzułmaniliśmy. Twarze i nogi mieliśmy opuchnięte, ręce pokaleczone i popękane. Rozpaczliwie szukaliśmy ratunku. Kiedyś zobaczyłem, że Francuzi wybierają ze skarpy małe, białe korzonki i zjadają. Spróbowałem i ja. Korzonki były delikatne, dały się rozgryść i miały w sobie trochę soku. Przy każdej okazji ratowałem się tą "nowalijką". Zaczynał się kwiecień.

Coraz częściej zdarzały się przerwy w pracy spowodowane alarmem lotniczym. Kazano nam wtedy kłaść się pod burtą skały. Tu właśnie, czekając na odwołanie alarmu, wyszukiwałem smaczne korzonki. Było już ciepło, słońce mocno grzało śląc promienie prostopadle do stoku góry. A z góry dochodził nas szum i warkot setek motorów. Były to tak zwane dywanowe naloty aliantów, kierujące się w głąb Rzeszy. Ożywiamy się nadzieją. Już chyba niedługo. W końcu kwietnia "baukolonna" nie pojechała na teren budowy drugiego toru.

Od początku pracy w baukolonnie pilnie obserwowałem zachowanie poszczególnych członków naszego konwoju. Najbardziej zainteresowałem się ich dowódcą. Nigdy nie umiałem odróżnić stopni wojskowych w niemieckim wojsku, ale myślę, że był on podoficerem. Odrębną cechą tego człowieka było jego zachowanie - nigdy nie krzyczał. Komendy i polecenia wydawał zdecydowanie, ale nie cechowała go typowa hałaśliwość i buta. Miał inteligentną twarz. Pracując raz w jego pobliżu spostrzegłem, że gdy jest sam to nigdy nie rozdeptuje

wypalonego papierosa, lecz odrzuca go od siebie i odwraca się. Wykorzystałem nadarżającą się okazję i podniosłem niedopałek, gdy się oddalił. To był początek. Robił tak każdego dnia. Natomiast rozdeptywał niedopałek, gdy był w towarzystwie esesmana z nacze-go konwoju. Zrozumiałem z tej dyskretnej obserwacji, że nie wolno im było pozostawiać niedopałków, aby więźniowie z nich nie korzysta-li, czego on osobiście nie przestrzegał, ale był ostrożny. Czyż-
by w ten sposób chciał ulżyć naszej niedoli?

Pewnego razu, gdy było bardzo zimno, zgodził się, aby kilku więźniów poszło do wioski i przyniosło w termosie gorącej wody do picia. To już było zadziwiające. Innym razem pozwolił, abyśmy zro-bili przerwę w pracy, a kilku więźniów w rozpalonym ognisku upiek-ło kartofle, a to już znaczyło bardzo dużo. Jak na esesmana było to nie spotykane. Właśnie on przez tłumaczy kazał nam powiedzieć, że poczynione są starania o "frisztiki" od kolei. Zauważyłem, że jest bardzo wymagający w stosunku do żołnierzy, którym często zwracał uwagę za niewłaściwą postawę, czy niestaranny ubiór, natomiast nie chce widzieć naszych umęczonych, powolnych ruchów lub nawet postojów dla wyprostowania zbolałego krzyża. Czułem w nim ukrytego przy-jaciela, choć w znieprawionym mundurze. Że zdarzają się wśród Niem-ców nieliczni ludzie wrażliwi na ból, było dla mnie wielką pocie-
chą.

Niedzielny obiad

Wyżywienie więźniów w Reichenau nie odbiegało w zasadzie od normy przyjętej w innych znanych mi obozach, a więc na śniadanie jakaś gorąca pseudokawa, na obiad miska zupy z brukwi lub zieliska, a na kolację pajdka chleba, znów kawa z żołądźmi, margaryna.

Odmienne natomiast było rozdzielanie chleba. W Gross-Rosen i Gablonz otrzymywaliśmy gotowe "pajdki", tutaj na stół wydawano ca-ły bochenek, który dzieliło się na części. Jedna część powinna by-ła ważyć około 100 gramów. Podział chleba był bardzo skrupulatny, więźniowie skonstruowali prymitywne wagi szalkowe i na nich dzie-lili porcje. Nawet okruszyny były sprawiedliwie rozdane. Nic w tym dziwnego, przecież chleb był najcenniejszy, stał się nawet mier-nikiem handlu wymiennego. Palacz właśnie za kawałek chleba mógł kupić od drugiego coś do palenia. Kradzież chleba w obozie była bardzo surowo karana, na szczęście należało to do wyjątków. Ja przyjąłem zasadę przeznaczania tylko małej części chleba na wymia-nę. Innością w Reichenau było wydawanie tytoniu. Zaczęło się to w kwietniu i miało miejsce może 2 lub 3 razy, niedługo przed wyzwoleniem, ale i to już poprawiło trochę sytuację palaczy.

Podstawowym daniem w obozie był obiad, ale właśnie w Reichenau dopiero w niedzielę spełniał on nasze marzenia. W niedzielę "baukolonne" otrzymywała gorącą zupę obiadową, gdyż wcześniej wracaliśmy z pracy, ten posiłek był więc wspólny dla całego bloku. Przy jed-nych stołach zasiadali raz w tygodniu spokojnie, bez pośpiechu, towarzysze "baukolonny" z kolegami pracującymi w fabryce. Nic nie było tak atrakcyjnego i podniecającego, jak wydawanie obiadu, tej jednej jedynej miski gorącej, lichej strawy. Gorącej tylko raz w tygodniu - w niedzielę. Obserwowałem kolegów, gdy z godnością de-lektowali się każdą łyżką. Zawartość miski była opróżniana do ostat-niej kropelki. Później następowała cisza. Wszyscy patrzyli na ko-cioł, w którym jeszcze została zupa. W Gablonz dodatki dostawali funkcyjni, czyli milicja obozowa, "piple", sanitariusze, czasami fryzjerzy i inni, którzy wykonywali jakieś dodatkowe roboty na bloku. Ponadto resztę zupy "küchekapo" rozdzielał wśród młodocia-

nych, co było aprobowane przez wszystkich jako sprawiedliwe. Tutaj dolewka również należała się funkcyjnym, ale do kotła nikt nie mógł podejść. Wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Blokowy uważnie obserwował twarze więźniów i palcem wskazywał, kto ma podejść po dolewkę. Okazało się, że wybiera muzułmanów, więźniów najbardziej wyczerpanych. W Gross-Rosen i Gablonz muzułmanin nie miał szans - tutaj blokowy szansę im dawał. W duchu akceptowałem jego taktykę i dziś, wspominając tę chwilę, podkreślam ją bezinteresownie, bo nigdy nie wskazał palcem na mnie. Było dużo kolegów gorzej wyglądających, szczególnie z "baukolonne", była wśród nas młodzież, która potrzebowała więcej jedzenia od nas dorosłych.

Poważnym dla mnie zagrożeniem stały się objawy nowej choroby. To nic, że nogi miałem opuchnięte i ropiejące, do tego się już przyzwyczailem. Wrzody na całym ciele i głowie już tak nie dokuczały, pozostały mi tylko blizny na piersiach i głowie, oraz jakieś guzy, ale i tego też się nie bałem. To nowe nawiedzało mnie właśnie w niedzielę po obiedzie. Jeszcze siedzimy przy stołach, a ja w pewnej niespodziewanej chwili tracę przytomność i upadam na ziemię. Mam początkowo trochę duszności, ale później nic już nie pamiętam. Gdy powraca świadomość, bolą mnie wszystkie mięśnia rąk, nóg i głowy. Zdarzało się to na moje szczęście tylko w te poobiednie niedziele. Koledzy zasłaniali mnie przed wzrokiem funkcyjnych. Nie opuszczał mnie i opiekował się mną głównie Leon Dzierżanowski, współtowarzysz z tego samego transportu. Do końca pobytu w obozie miałem te ataki tylko w niedzielę, na szczęście nie zauważone przez władze. Leon zajmował zawsze miejsce obok, aby mnie uchronić od nagłego upadku. Co by się ze mną stało, gdyby taki przypadek zdarzył się mi przy pracy albo w czasie marszu. Może to niedziele działy, że przeżyłem Gross-Rosen. Podobno kiedyś blokowy kazał powiesić dwóch więźniów za kradzież chleba. Wyrok to bardzo srogi, ale nie wiem, czy nie był słuszny. W warunkach obozowych kradzież chleba to prawie wyrok śmierci dla okradzonego, a przecież byli tacy, o czym już wspominałem, którzy za każdą cenę nawet kosztem życia okradali drugiego więźnia. Blokowy naszego bloku 2 po wyzwoleniu został rozpoznany w kraju przez kilku współwięźniów i wyrokiem Sądu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej skazany na kilka lat więzienia. Sprawiedliwy i słuszny rozdział nadwyżki zupy i łagodniejsze obchodzenie się z więźniami na kilka miesięcy przed wyzwoleniem nie złagodziło gniewu byłych więźniów za popełnione przez niego czyny w okresie wcześniejszym.

Gdy zbliżał się front, a więc w kwietniu, robiło się coraz cieplej nam od słońca, wrogowi od nacierającej ofensywy radzieckiej i od nalotów alianckich.

Wiedzieliśmy już, że od lutego obóz Gross-Rosen został zlikwidowany, a teraz był zajęty przez wojska radzieckie. Esesmańska komendantura obozu Gross-Rosen przeniosła się do Reichenau.

Pewnego dnia w komunikacie dla więźniów podano, że kto zgłosi się ochotniczo do służby wojskowej, zostanie z obozu zwolniony. A więc wolność za cenę hańby. Długo komentowaliśmy po kolacji naszą sytuację. Były propozycje abyśmy się zgłosili i na wolności, mając broń, przeszli linię frontu. Ale inni, że ten plan nie ma szans, gdyż broni nie dostaniemy, a będą nas używać tylko jako tarczy ochronnej dla osłony wojsk niemieckich, lub będziemy dalej używani do robót wojskowych, a to przecież pomoc dla wroga. Uznaliśmy, że tą drogą wolności nie uzyskamy. Nie przypominam sobie, aby nawet więźniowie Niemcy skorzystali z tego zaproszenia.

"Baukolonna" jeszcze nie skończyła robót na kolei, została jed-



Obóz Reichenau - wejście do rewiru.
Więzień Rosjanin, który z Gablonz przybył do
Reichenau, aby pracować w komando Baukolonne
długo walczył o życie. Zmarł w pierwszy dzień
wolności i będzie pochowany w trumnie, a nie
zakopany w worku, jak poprzedni współwięźniowie.

Nr archiwum 3.9.1.31

nak przeznaczona do kopania rowów strzeleckich na wzgórzach sudeckich gór. Wraz z nami chodzili również koledzy pracujący w fabryce, gdyż stan liczebny "baukolonny" bardzo się zmniejszył. Los nasz się nie poprawił, a nawet pogorszył, bo skończyły się "frisztiki". Chodzenie po górach i kopanie rowów, mimo, że było już cieplej, stawało się pracą coraz cięższą. Byliśmy już bardzo wyczerpani. Opłakanie wyglądała nasza kolumna wracająca z robót do obozu. Mimo ponagłań "postów" rozciągaliśmy się w grupki, po kilku. Trochę silniejsi pomagali iść tym, co już iść nie mogli, więc ratowaliśmy się wzajemnie, bo czuliśmy wolność już blisko. Gdy Władek Brudziński z Warszawy zaczął raz się osuwać, ja też ledwo trzymając się na opuchniętych nogach sam nie mogłem go utrzymać uprosiłem kilku o pomoc. Podnieśliśmy go i, prowadząc pod rękę, doprowadziliśmy i tym razem do obozu. Podczas marszu często robiliśmy zmiany, bo ci, co prowadzili Władka, też ledwo szli. Ale się udało. Jeszcze jeden dzień dla Władka uratowany.

Jak wielką radością dla mnie było, gdy zobaczyłem go w wyzwolonej Warszawie w 1946 roku.

Coraz częściej słyszeliśmy szum motorów w górze, aż ziemia jęczała, na niebie srebrne punkciki setek samolotów lecących na zachód, a później detonacje wybuchających bomb i drżenie ziemi. To był dla nas odwet za Warszawę. Czasami dochodziły do nas jeszcze grzmoty z dalekiej linii frontu. Podczas ewakuacji 8 maja 1945 r. o godz. 2.00 w nocy zarządzono alarm. Więźniowie mają przygotować się do transportu. Wolno zabrać koc. Przygotowują wózki, na które kładzie się chleb. Chorzy pozostają w obozie - za chorego uważany był ten, kto już nie mógł stać na nogach i iść. Zdaje mi się, że było takich trzydziestu. Wcześniej ruszyły auta z komendanturą obozu. Dopiero wtedy zobaczyłem ich zdenerwowanych i pakujących się pośpiesznie. Formowanie transportu trwało kilka godzin. Wreszcie wyruszamy jako pierwsi w kolumnie, za którą więźniowie ciągnęli wózki z chlebem. Otaczają nas żołnierze, ale ze zdziwieniem stwierdzamy, że nie ma wśród nich esesmanów. Pilnują nas tylko wermachtowcy. Dowódcą naszego transportu został esesman, który kiedyś prowadził "baukolonę" na roboty. Po przejściu bramy ulicami opuszczamy miasteczko i szosą idziemy w nieznaną. Jest piękny majowy dzień, ciepło i słonecznie. Nasz konwój wprawdzie otacza więźniów ze wszystkich stron, ale idzie niedbale, karabiny na ramieniu trzymane są często lufą w dół. Nie zwracają uwagi na nierówność szyku. Są jeszcze tylko z armii sojuszniczych w mundurach niemieckich. Marsz urozmaicany różnorodnymi domysłami. Że przekażą nas do dyspozycji Czechosłowackiego Czerwonego Krzyża, gdyż nie wiedzą, co z nami zrobić. Że wszyscy esesmani uciekli, przebrani w cywilne ubrania, bo ktoś rozpoznał takiego esesmana. Że w nocy uciekła komendantura Gross-Rosen w niewiadomym kierunku, że wermachtu nie musimy się bać, bo nam krzywdy nie zrobią, gdyż sami nie wiedzą, co z sobą zrobić, a esesmanów jest coraz mniej. Obok mnie siedzi więzień, który opowiadał mi o swoich ucieczkach z obozu i jak został złapany. Rozpatrując sprawę ucieczki z transportu, ustaliliśmy, że już nie warto uciekać, bo jeszcze jaki cywilny Niemiec może zbiega zastrzelić, a tak idziemy pod ochroną. Takie i podobne rozmowy prowadząc, doszliśmy do jakiegoś miasteczka. Ulica prowadziła obok szerokiego placu z trawnikami. Kolumna skręciła w lewo w wąską uliczkę, która pnie się ostro w górę pod kątem co najmniej 45°. Po obu stronach szczyty piętrowych domów, szczelnie do siebie przylegających. Kolumnę na końcu zamyka tabor z wózkami. Idziemy bardzo wolno. Nagle u wylotu ulicy widzimy wy-

łaniający się czołg, który lufą spogląda nam w oczy. Transport się zatrzymuje. Wszyscy drętwieją. Oglądam się za siebie, ale wózki taborowe zatarasowały w dole ulicę. Więźniowie jak tragarze z opuszczonymi głowami ciągną je pod górę. Nie ma więc odwrotu. Na boki też nie widzimy ucieczki. Wtedy biegnie do czołgu dowódca naszego transportu. Rozmawia, krzyczy, protestuje, my czekamy w napięciu. Wreszcie otrzymujemy rozkaz cofnięcia się na plac, czołg jeszcze milczy, ale czeka. Schodzimy coraz pośpieszniej i w dole na placu szukamy schronienia. Nasz dowódca transportu wsiada na motor i gdzieś pędzi. Kazano rozłożyć się na trawie i czekać. Ci, co rozumieli język niemiecki i słyszeli rozmowę, przekazali, że właśnie nasz dowódca transportu obronił nas przed zagładą, gdyż w tej uliczce miały przejść po nas czołgi. Powiedział im, że otrzymał inne polecenie dla transportu, i pojechał, aby potwierdzić jeszcze raz rozkaz. I przywiózł. Otrzymałszy polecenie powrotu do obozu. Gdy dochodziliśmy do Reichenau witała nas już tylko miejscowa ludność cywilna. Następnego dnia byliśmy wolni, ale wolność wymaga odrębnego opisu.

Pierwsze dni wolności

Koniec wojny. Brama obozu została udekorowana flagami. Przyjeżdżają do obozu władze czeskie. Jest wśród nich ten oficer, który ochronił nasz transport, a przez cały czas życzliwie odnosił się do więźniów "baukolonny". Już w cywilnym ubraniu, z trybuny honorowej ogłasza nam wolność. Dużo radości, owacje. Wolno nam się poruszać, swobodnie wyjść samemu za bramę. Do obozu przyjeżdżają sanitarki, zabierają chorych i mużułmanów. Mnie też chcą zabrać, ale odmawiam. Zgłaszam się do lekarza, mówię, że jestem sanitariuszem, więc mogę im pomagać. Lekarz spojrzał na mnie i podziękował za usługi, której nie przyjął. Prawdopodobnie duchowo wciąż byłem silny, ale fizycznie nie przedstawiałem wielkiej wartości. Pojechał sanitarką Leon Dzierżanowski i wielu, wielu innych. Pojechali też chorzy z rewiru, ale nie wielu doczekało wolności. Znajomy Rosjanin z "baukolonne" i Gablonz już nie żył. Oficerowie radzieccy robili zdjęcia fotograficzne jego zwłok. Był to szkielet powleczonej skórą. Wyszedłem za bramę i zobaczyłem oddział czeskich partyzantów. Prosiłem, aby pozwolili przyłączyć się do nich. Szli rozbrajać armię niemiecką. Przez wiele dni szły wojska niemieckie szosą z taborom, a broń musieli pozostawiać w rowach. Myśmy mieli za zadanie sprawdzić, czy wszystką broń z wozów zrzucili. Trudno sobie wyobrazić, jakie wrażenie robiło na Niemcach, że ludzie w pasiakach, obok czechosłowackich partyzantów w mundurach, odbierają im broń. Im panom świata, odbiera broń "polnische bandit". Było nas wtedy kilku, pamiętam Bronka Stachórskiego, Janka Kosińskiego i innych. Był też ze mną Jurek Kowalczyk - harcerz z Warszawy. Za wywiązanie się z obowiązku otrzymałem znaczek partyzancki i podziękowanie. Choć jedzenia w obozie było bardzo dużo, gdyż zaraz po wyzwoleniu nie tylko władze miejscowe dostarczały mięso i chleb, ale ludność okoliczna, wiejskie kobiety Czeszki szły z koszyczkami niosąc masło, ser, jajka, co miały najlepszego, aby nas pokrzepić. Ten ich czyn pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Długo widziałem na otaczających wzgórzach te kobiece sylwetki pojedynczo idące w stronę obozu i powracające z pustymi koszyczkami. Dużo życzliwości i troski odczuliśmy ze strony ludności sudeckich gór. W obozie ruch. Część silniejszych kolegów penetruje barak dowództwa. Szukają papierosów i cenniejszych przedmiotów. Na ziemi



Rzeźba w drzewie wysokości około 20 cm.
Uliczny śpiewak z harmonią przed gazową latarnią.
Inicjały autora "A.P.". Prawdopodobnie autorem
tej rzeźby był autor fontanny - syrenki warszaw-
skiej w obozie Aleksander Piekarski.
Rzeźbę tę wdeptaną w ziemię znalazł więzień
Henryk Uchman w pierwszy dzień wolności.

Nr archiwum 3.9.1.23

przed blokiem leży mała figurka z drewna. Podnoszą ją. To grajek gra na harmonii pod gazową latarnią. Zatrzymałem sobie na pamiątkę. Autor nie znany, tylko inicjały A.P.

Niektórzy z więźniów mają broń. Dokonano kilku aktów samosądu. Nie pomaga mój sprzeciw. Nikt nie słucha.

Odwiedzają nas towarzysze z obozów pracy. Zapraszają na zabawę. Silniejsi poszli. Ja cieszę się życiem. Cieszy się również Jurek Kowalczyk. Prosi, abym go nie pozostawiał. Chce być ze mną, aby razem wrócić do Warszawy, ja do żony i córeczki, on do matki. Postanowiłem nie rozstawać się z tym miłym chłopcem.

Pewnego dnia przypomniałem sobie, że muszę dotrzeć za miasto, na górę porośniętą lasem. Zawsze na apelu widziałem wysoko ten las i ślubowałem sobie, że jak doczekam wolności, to właśnie pójdę tam ucałować wolną ziemię. Idąc uliczkami widziałem domki willowe z ładnymi ogródkami, a na trawnikach pawie lub dorodny drób. Kilkadziesiąt metrów przede mną szło dwóch więźniów. Widzę, jak otwierają furtkę i wchodzi do ogrodu. Złapali pięknego dużego koguta, zapewne chlubę gospodarzy. Oswojony, nie spodziewał się zamachu. Złapany zaczął pisać. Ja pobiegłem za nimi, aby im tego zabronić, ale było już za późno. Kogut miał łepkę ukręcony. Zrobiło mi się go żal. Ogarnął mnie wstyd za moich towarzyszy. Zwymyślałem ich, zażądałem, aby zdjęli wstążeczki narodowe ze swoich ubrań, gdyż obaj Polak i Rosjanin przynoszą wstyd swoim krajom. Zrozpaczona gospodyni płacząc tłumaczyła po czesku, że dała by kilka kur za tego koguta, ale było już za późno. Więc wolność przynosi i wstyd..

Przecież w obozie tyle żywności. Jadłem ostrożnie, ostrzegałem też Jurka, aby unikał tłustego jedzenia. W obozie coraz więcej chorych na "durfał". Nawet chodząc jedli, a po nogach spływała wydzielająca się z nich jakaś czarna ciecz, czego widocznie nie czuli. Więc po cóż jeszcze grabić? Różnie pojmują ludzie wolność... Tak rozmyślając szedłem do widzianego celu.

Góra jest wysoka. Ciężko mi było się na nią wdrapywać. Wreszcie stanąłem. Jest las, a na ziemi nagrzaną słońcem - trawa. Upadłem i jak żrebak w niej się 'arzałem. Żyję. Ziemia taka ciepła, taka dobra i miła. Delikatna trawa pieści moją twarz. Jestem szczęśliwy.

Wstałem. Oglądam okolicę. Z prawej strony, w dole miasto, na wprost linia kolejowa przecina dolinę. Jakiś mostek kolejowy, a daleko zabudowania. Domek podobny do dworku Chopinów w Żelazowej Woli. Otynkowany, przed gankiem filary. Z zabudowań wychodzi jakiś człowiek, kiwa ręką, przywołuje mnie, woła. Myślę, że to nie do mnie, ale nikogo poza mną nie ma. Schodzę z góry, człowiek ruchem ponagla, więc to ze mną chce rozmawiać. Okazało się, że jest Polakiem. Pracował u gospodarza i w jego imieniu zaprosił mnie do domu. Gdy przyszedłem, przywitał mnie gospodarz z żoną. Młoda gospodyni przygotowała jedzenie, nakarmili mnie, prosili, abym pozostał u nich w gościnie, gdyż mają wolne pokoje. Obejrzałem je i to mi odpowiadało. Odpoczynek na wsi w nie skrzepowanym mieszkaniu, wśród życzliwych ludzi. Ale Jurek? Powiedziałem im o tym chłopcu z Warszawy, że nie mogę jego opuścić. Zgodzili się, abyśmy pobyli u nich razem i nabrali sił do podróży do domu. Przyprowadziłem Jureczka i razem z tymi nowymi przyjaciółmi spędziliśmy kilka dni. Rzeczywiście starania gospodyni dały rezultat, doszliśmy trochę do siebie, nabraliśmy sił, uniknęliśmy może ciężkich chorób. Do obozu chodziliśmy, żeby się dowiedzieć, co dalej mamy robić. W Gablonz w Narodni Vyboru otrzymałem zaświadczenie, że jestem więźniem obozu koncentracyjnego i wszelkie władze zobowiązane są mi pomóc. Również otrzymaliśmy ubrania cywilne - bieliznę,

płaszcz i jesionkę. Jurek dostał kurtkę skórzaną. Mieliśmy już swoje walizki. Spakowaliśmy rzeczy i już tylko pragnęliśmy jechać do Ojczyzny.

Dowiedzieliśmy się, że w Polsce zaczynają chodzić pociągi, trzeba tylko dotrzeć do granicy. Więc podziękowaliśmy naszym gospodarzom za serdeczną gościnę i ruszyliśmy pieszo. Dostaliśmy wózek, na który włożyliśmy walizeczki i opuściliśmy gościnny dom. Gospodarze obdarzyli nas na drogę prezentami. Ja dostałem dużo papierosów, a dla żony, córeczki i dla matki oraz obu sióstr drobne upominki, oraz zaproszenie, abym po odnalezieniu żony i dziecka, zaraz do nich wracał na dłuższy odpoczynek.

Podróż mieliśmy bardzo długą i ciężką. Na jednej z kwater zostaliśmy okradzeni przez współwięźniów, m. in. Jopka i Jabłońskiego. Wszystkie upominki dla rodziny, papierosy, a nawet odznaka partyzanta zostały mi skradzione. Dalej podróżowaliśmy rowerami.

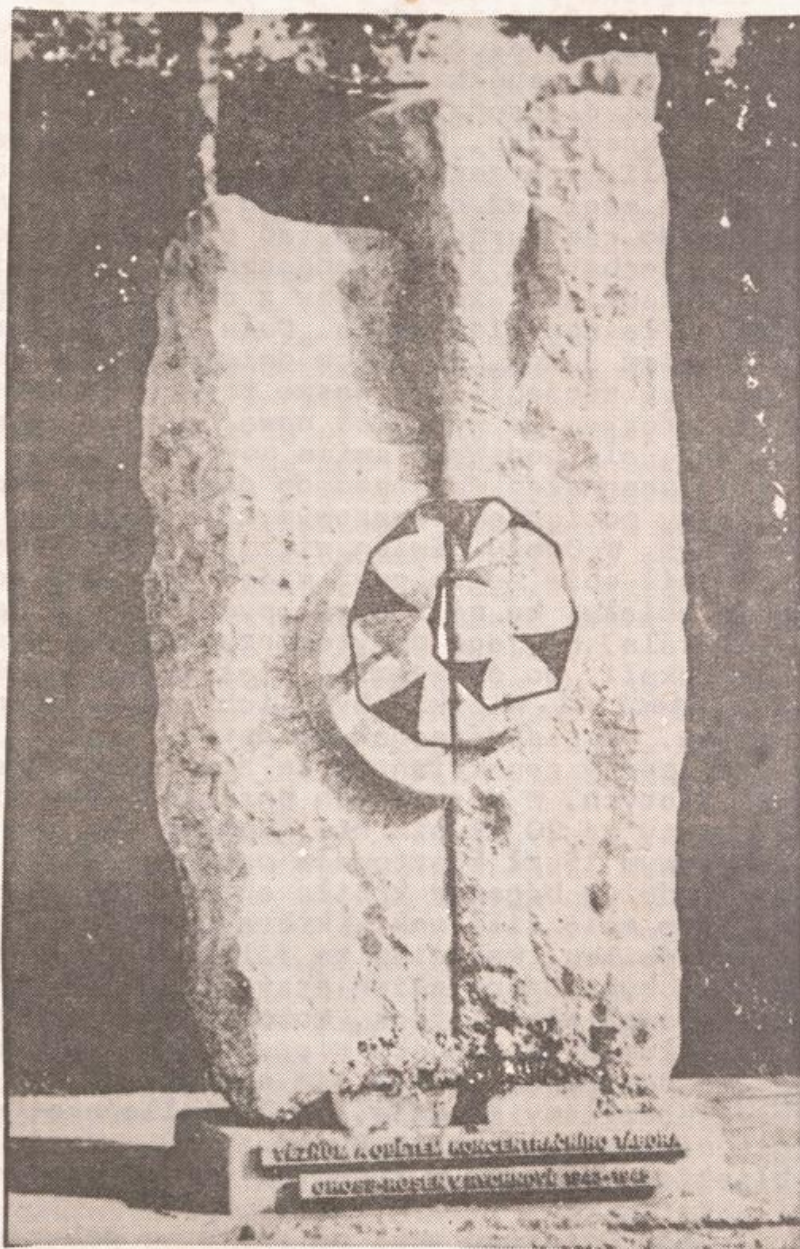
W Wałbrzychu mieliśmy przerwę w podróży, bo Jurek dostał gorączki, zachorował i nie mógł już dalej jechać. Co robić? Nikogo nie znaleźliśmy. Wszedłem do restauracji zapytać o poradę i pomoc, może choć dadzą gorącej herbaty i trochę odpoczniemy. Właścicielka była Niemką. Gdy się dowiedziała, że wracamy z obozu i kolega mój jest chory, zaraz odstąpiła nam mieszkanie. Dała ciepłą pierzynę, zaopiekowała się Jurkiem i mną. Po dwóch dniach ruszyliśmy w stronę Wrocławia. W Świdnicy zamieniliśmy nasze rowery na nowe. Była tych rowerów olbrzymia sterta. Ja wybrałem nową "damkę", z myślą, że będzie dla córeczki, ale pod Wrocławiem "sokista" zabrał mi rower. On miał broń, a ja pragnąłem dojechać do domu, więc oddałem. Od Wrocławia jechaliśmy pociągiem towarowym z transportem maszyn do Związku Radzieckiego. W Opolu pewien więzień, który siedział na brzegu wagonu, utracił obie nogi, gdyż mijał nas inny pociąg, którego wagony mu je ucięły, bo nogi miał opuszczone na zewnątrz. Gdy go zabrali do szpitala, na jego dobytek rzucili się szabrownicy, ale bardzo się oszukali, bo ów więzień miał tylko dwa worki wypełnione ścinkami krawieckimi. Wielkie było ich rozczarowanie, a my żałowaliśmy biedaka, co nie dojechał do domu.

Mijaliśmy transporty repatriantów na ziemię odzyskaną. Od jednego dostałem 20 złotych. W Katowicach przesiedliśmy się na pociąg do Warszawy. Niestety za 20 zł nic nie kupiłem dla nas do jedzenia, bo w bufecie dworcowym 15 zł kosztowała paczka zapalek. W poczekalni jakaś kobieta z dużym bagażem kroїła chleb. Prosiłem, aby dała kromkę. Zażądała ode mnie filiżanki, którą wiozłem z sobą dla napięcia się wody. Odmówiłem. Przecież ta filiżanka towarzyszyła mi przez całą podróż i była od czeskich przyjaciół. W pociągu z Katowic do Warszawy panował wielki tłok. Koło Częstochowy dostałem zapadki, znowu straciłem przytomność. Miałem podobno drgawki, objawy padaczki. Wreszcie pociąg zatrzymał się na upragnionej stacji Włochy. Z Jureczkiem poszliśmy do mnie, na Jagiellońską, gdyż do Warszawy on już nie miał siły jechać. Byłem znowu w swoim mieszkaniu i wszystkich bliskich zastałem w zdrowiu. Było to w czerwcu 1945 roku.

Gdy powrócił Leon Dzierżanowski po dłuższym pobycie w szpitalu, gdzie czechosłowaccy lekarze i cały personel bardzo troskliwie zaopiekowali się więźniami, opowiedział mi, że wyjeżdżając do Polski wstąpił do obozu jeszcze raz popatrzeć na to miejsce naszej udręki. W bloku drugim więźniami byli esesmani, złapani przez partyzantów czechosłowackich. Gdy im się przedstawił, wprowadzili go do izby i kazali rozpoznawać, który był w załodze obozu. Leon nie rozpoznał żadnego, wobec tego, dla satysfakcji Leona, kazali im tylko przećwiczyć żabkę.

Warszawiacy, byli więźniowie obozu w Reichenau, pamiętają o swoich współtowarzyszach, którym nie dane było dożyć wolności. Odwiedzają Reichenau. Z miejsca, gdzie grzebano zwłoki więźniów Polaków, pobrano prochy ziemi i złożono je do urny w Mauzoleum Walki i Męczeństwa przy Al. Szucha w Warszawie, i w Palmirach.

Na zawsze byli więźniowie zachowają też w pamięci serdeczną pamięć i troskliwość, jaką im okazał naród czeski w pierwszych dniach wolności.



Ten pomnik, wzniesiony przez władze i społeczeństwo miasta Rychnov, upamiętnia katownię hitlerowską Gross-Rosen, podobóz w Reichenau

Nr archiwum 3.9.2.8